

Jan Kieniewicz

Dziedzictwo Polesia. Od *locus amoenus* do *locus communis**

Jest obyczajem środowiska Artes Liberales, że zabieram głos w trakcie oplatka. Trochę podsumowuję, trochę snuję plany na przyszłość. Tak dzieje się od dwudziestu pięciu lat! W tej refleksji nad naszym działaniem, nie tylko nad osiągnięciami i perspektywami, chcę dziś poruszyć sprawę zasadniczą, a mianowicie powstawania dziedzictwa jako następstwa woli dziedziczenia. Najpierw jednak opowiem o czymś bardzo osobistym.

Może niektórzy pamiętają, jak przed laty, w trakcie naszej debaty o historii i pamięci (2010), odczytałem list otrzymany od Ani, młodej Białorusinki pytającej o pozwolenie przełożenia na białoruski wspomnień mojego dziada, Antoniego Kieniewicza. Odpowiadając na pytanie, dlaczego podejmuje to zadanie, stwierdziła, „tylko umiłowanie swoim krajem, Polesiem, Prypiecią nas, współczesnych mieszkańców Petrykowszczyzny z Pana krewnymi teraz połączy. Ale, myślę że teraz tak nie umiemy zachwycać się Ojczyzną jak to robił Pana dziadek”. Wtedy ta emocjonalna deklaracja wydała mi się miła ale oczywista, jakbym uznał ją za konsekwencję refleksji nad zniszczeniami, jakie kulturze białoruskiej przyniosła epoka sowiecka. Myślę, że nie doceniłem jej zaangażowania i determinacji. Praca została ukończona. A kilka dni temu Ania zadzwoniła, by opowiedzieć, jak z dwojgiem przyjaciół pojechała do Dereszewicz, na wysoki brzeg rzeki, gdzie kiedyś stał dom mego Ojca, Dziada, Pradziada... Tam w parku uprzętnęli liście z rodzinnych grobów i fundamentu po dworskiej kaplicy. Ta neogotycka budowla postawiona na końcu parku w 1855 roku, po powstaniu styczniowym stała zamknięta aż do 1887 roku. Potem służyła mieszkańcom dworu aż do ich ucieczki w 1918. Zrujnowana w trakcie pogromu w 1917 uległa zniszczeniu najpewniej wraz z dworem w czasie walk w 1944 roku. I oto teraz, z inicjatywy tych młodych Białorusinów, ksiądz z parafii Petrykowskiej odprawił na fundamencie kaplicy mszę w intencji rodziny Kieniewiczów! Spełniało się przenikliwe stwierdzenie Katarzyny Tomaszuk, „że poleska Arkadia, *locus amoenus* Kieniewiczów, stanie się *locus communis*”. Dodajmy, że będzie to teraz *locus noster* Białorusinów, w sensie jego przysposobienia. Przypomina się przepowied-

* Przemówienie podczas oplatka na Wydziale „Artes Liberales” UW dnia 19 grudnia 2019.

nia Leszka Kieniewiczza, „historia mojej rodziny staje się częścią białoruskiej mitologii”. Nie muszę ukrywać wzruszenia.



Kaplica Kieniewiczów.
Rysunek Jadwigi Kieniewiczówny z połowy XIX wieku

Początki tej historii sięgają wieku XVIII, ale przywołam tekst późniejszy, który dobrze pokazuje widzenie Polesia przez moje środowisko rodzinne. „Ogromną przestrzeń kraju zawartą między źródłami Dźwiny i Dniepru, z jednej strony dotykającą Kijowa, a z drugiej Brześcia Litewskiego, nazywam Polesiem.... Puszcza niezmiernie rozległa, gęstwinie prawie nieprzebyte, powywracane drzewa olbrzymie tamują drogę prawie za każdym krokiem. Błota zwane hala rozciągają się w różne strony, jedne pokryte gęstymi zaroślami, drugie przez mile i mile zarosłe wysoką trawą zwaną oczerety... Oressa, Ptycz i Prypeć z mnóstwem zatok i rzek mniejszych przeryniają i fortyfikują te gęste lasy i bagniste pozycje.” Tak w 1846 pisał dla Hotelu Lambert Władysław Jeleński uzasadniając myśl o stworzeniu tam właśnie centrum

partyzantki antyrosyjskiej ... Bo uważał, że ludność miejscowa, do panów przywiązana, do religii żadnej nie za bardzo, pójdzie do powstania przeciw Moskałom. Co się zupełnie nie sprawdziło w 1863. Zresztą, obywatele też niezbyt się garnęli... Tym nie mniej, dla Polaków z tamtych stron, cóż że zamożnych posiadaczy, powstanie było katastrofą.

Jakże daleko od tego opisu lokuje się stereotyp z piosenki „Polesia czar, to knieje i moczary...”! Może bliżej mu do etnograficznego studium tutejszego, Poleszuka w łapciach, dwudziestowiecznego tubylca z reportaży Pruszyńskiego? Wszystkie te poleskie realia i wyobrażenia starły z powierzchni ziemi dwie wojny i dwie rewolucje. Tamto Polesie było moim krajem rodzinnym, w którym nigdy nie byłem, ale którego obraz zapisany w pamięci nikomu nie szkodzi. Nawet nie przeszkadza. Może odejdzie wraz ze mną, może zostanie na pamiątkę dalszym pokoleniom? W każdym razie, jest moim dziedzictwem, a nie uczestnictwem w polskiej mitologii kresowej. Dlatego mam prawo wypowiedzieć się, gdy Inni przywołują to dziedzictwo jako własne.



Fundament kaplicy w grudniu 2019 r.

Podobne zjawisko przysposobienia dostrzegam w fakcie odrestaurowania dworu Lubańskich w Łoszycy (dziś muzeum w Mińsku). Na początku XX stulecia jego panią była Jadwiga, starsza siostra Antoniego Kieniewicza. Dziś w odnowionych salach wisi jej portret. Dodam przy okazji, że została zakończona praca nad przekładem i jest szansa na druk bia-

loruskiej wersji *Nad Prypecią dawno temu*. Zadania chce się podjąć fundacja „Dziedzictwo Polesia”. To bardzo wymowne. Dlatego warto się przypatrzeć temu zjawisku.



Widok na Prypeć z fundamentu dworu Kieniewiczów

Ma ono głębszy sens, którym chcę się podzielić. Sens podwójny zresztą. Intencja bowiem wydaje się klarowna, młodzi Białorusini nie traktują kieniewiczowskiej wersji historii tego fragmentu puszczy nad Prypecią jako obcej. Co więcej nie mają oporów przed uznaniem faktów zapisanych w tej rodzinnej historii. Dziedzictwo to nie jest im dane, oni je tworzą. Spełniają jakby moje mniemanie, że dziedziczenie polega nie tylko na decyzjach emocjonalnych. To także przejmowanie zasobu materialnego, aczkolwiek w znaczącej części ukrytego w słowach. Co więcej, w tym przekazie, nazwijmy go rzeczowym, nie utrwała się przekonanie o swego rodzaju winie polskich panów. Przynajmniej jest pozbawione kompleksu ale też resentymetu.

We wspomnieniach z tamtej epoki, pisanych już po II wojnie światowej, Janiny Żółtowskiej, Marii Czapskiej, czy właśnie Antoniego Kieniewicza, odnajdziemy głęboki ból z powodu zagłady rodzinnego domu, także wtedy gdy nie dochodziło przy tym do scen

drastycznych opisanych np. przez Kossak Szczucką czy Odojewskiego. Szczególne zaskoczenie zaś było powodowane aktywnym udziałem miejscowej ludności, z którą polskie dwory wydawały się żyć w przyjaznej symbiozie. Mój Ojciec jako historyk, uważał rzecz za oczywistą. Dwory były enklawami wysokiej kultury i bogactwa i to je czyniło obcymi, nie język czy religia. Jako człowiek starał się o zrozumienie swojej straty pisząc „Miejsce to zaś dałoby się przyrównać do wonnego, cieplarnianego krzewu, wyhodowanego na stoku którędy biegną lawiny.” Ale dodawał „To, że dostatni i spokojny świat, w którym wyrosliśmy, jest z dawna zagrożony, że polski dwór i jego domownicy stanowią tylko wysepkę pośrodku morza ludności obcej i niechętnej, lub wrogiej – o tym, rzecz jasna, nie miałem wtedy pojęcia”. Nie był skłonny do klasowej interpretacji zniszczenia wielkiej własności na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, ale też nie zaślepiła go nostalgia. Wrażenia jedenastoletniego chłopca zapisane w *Bezdomnych* (rękopis jego dziecinnej powieści z 1918 roku wydany został w 2007) pozwalają dostrzec znamiennej ewolucję: od rozpaczki do akceptacji, bo w zamian za utratę domu uzyskiwał Ojczyznę, a potem do racjonalizacji procesu w ujęciu historyka.

To opowiadanie o losach rodzinnego gniazda i stosunku do moich przodków utrwala przypuszczenie o kształtowaniu białoruskiej świadomości z wykorzystaniem pamięci, którą zwykliśmy uważać za dziedzictwo polskie. I to właśnie, po tych dwudziestu pięciu latach trudu, pozwala powiedzieć: oto zbieramy plon naszego siewu. Plon w wielorakim sensie, nie tylko w postaci awansu naukowego dwu co najmniej pokoleń, ale także ustalenia się zbioru norm, które pozwalają sobie nazwać duchem *artes liberales*. Ta satysfakcja płynąca z dobrego wykorzystania możliwości pozwala pójść o krok dalej. Wskazuję zatem na to, że oto uzyskaliśmy możliwość obserwowania procesu kreowania dziedzictwa. Polega on na włączaniu do zasobu własnego dowolnych elementów pozostałych po przeszłości cudzej. Resztki świata zniszczonego przez klęski XX wieku zaczynają przebijać spod popiołów. Ten plon nie posiany zbierają współcześni miłośnicy swej Ojczyzny. Jest to źródłem wielkiej satysfakcji.

Uświadomiłem sobie, a to dzięki emocjom, że jestem świadkiem zbierania plonu przez tych co nie zasiewali, choć może wraz ze mną najmocniej chcą. Mam na myśli dziedzictwo dawnej Rzeczypospolitej zbierane jako plon i włączane do zasobu, z którego będzie można budować zręby własnej tożsamości. W tym przypadku tożsamości białoruskiej. W konkretnym przypadku mam na uwadze kreowanie „dziedzictwa Polesia”, całkowicie niezależne od prób wpisania dziedzictwa kresowego w zasób służący z kolei budowaniu tożsamości polskiej. Niektórzy sądzą, że bez tej pamięci polskość będzie niepełna czy wręcz sfalszowana. Inni jednak utrzymują, że to właśnie pamięć o Kresach zatruwa polską tożsamość. Jako urodzony w Warszawie mam się jednak za dziedzica tamtego świata, trochę nawet za kustosza rodzinnej pamięci. Z tego właśnie tytułu, a też z racji wieloletniego uczestnictwa w naszych progra-

mach edukacyjnych i naukowych, nastawionych na odradzanie tradycji antycznej tkwiącej w realiach dawnej Rzeczypospolitej, skrajnościom tym jestem przeciwny.

Muszę to wytłumaczyć. Z lat szkolnych została mi w pamięci piosenka „Wesoły wicher”. W polskiej wersji Wiktora Woroszyńskiego, trochę inaczej niż w rosyjskim oryginale, refren zawiera zwrot: „kto wesół ten się śmieje, plon zbierze kto zasieje, zwycięży kto najmocniej chce”. To przesłanie obrałem za motto, rodzaj zawołania, a miałem wtedy zapewne lat 10 czy 11, któremu pozostałem wierny do dzisiaj. Otóż jest w tym tekście mowa o tym, że zbiera plony kto zasiał. Dziś dopowiem, oto plon zbierze kto zechce mocniej, a czy zaś w tym kontekście uznamy kogoś za zwycięzcę? Zwycięstwo w tym przypadku nie jest nad kimś, to jest przewyciężenie inercji konieczne, by od obrony tożsamości przejść do szukania nowej jej postaci. Wyrażam tu głębokie przekonanie, że to przysposobienie mojej pamięci do tworzenia nowej tożsamości Białorusinów będzie impulsem także do jej twórczego włączenia także w nową tożsamość Polaków.